

Maria Suszyńska-Bartman  
Redakcja Literat. i Report.

457  
Dnia 30.XI.1980 r.  
Godz. 16.05 - 17.30

*M. Suszyńska*

SZÓSTY STOPIEŃ DO NIEBA  
-----

*R-9*

*16 XI 80*

*Podpis*

*KW*

*[Handwritten mark]*

Jeszcze jestem w miasteczku nie małym, nie dużym - już na  
wylocie. Kochają Wisłobrzeg ci, co się tu urodzili i nie wyobra-  
żają sobie życia gdzie indziej. Mówią: jak tu pięknie! Wisła,  
lasy, blisko do stacji. A ja? Wszystko mi jedno, nie miałam  
wyboru, tu było miejsce. Moim miastem Warszawa. Utraciłam ją  
w sierpniu 1944 roku. Ostatnim progiem, który tam przestąpiłam,  
był próg śmierci dla tysięcy ludzi. Wyszłam z Gestapo ułaskawiona.  
Grób zamienili mi na obóz koncentracyjny. Szliśmy ulicą Szucha  
całą nietkniętą, w jesiennych drzewach, w słońcu. Dopiero od  
Unii Lubelskiej zaczęły się gruzy. Szliśmy w żałobnym pochodzie  
wgnani z własnego miasta nie wiadomo dokąd. Terkotały karabiny  
i ciężkie działa wyrzucały ~~z siebie~~ pociski kierowane w stronę  
śródmieścia. Jeszcze nocleg w Warszawie na Kazimierzowskiej  
w na wpół spalonym domu. Opuszczonym przez lokatorów i rozgrabio-  
nym przez złodziei. Silniejsi zajęli podłogi pokoi. Ostatnie, ja  
i matka, zawlokłyśmy się do kuchni. Czuć było czad i smród.

z uszkodzonego ustępu. Leżałyśmy na podłodze, trochę lepiej nam było jak w celi na Szucha. Nie mogłam zasnąć myśląc... Czy to tak naprawdę jest, czy to sen? Myśl o śmierci odrzucałam od siebie. Chciałam żyć. Dzień znowu słoneczny. Mrowimy się przed tym opalonym domem. Ogródki zdeptane, ludzie chodzą po ocalałych kwiatach i po grobach, nic sobie z tego nie robiąc. Pęd do kotła z zupą. Przywieźli RGO. A mogiły? Oni dziś, my może jutro. To nie był czas na opłakiwanie bliźnich. Potem pola, piach, ciężka droga do Zachodniego Dworca i pociąg, normalny pociąg. Jedziemy trzecią klasą na śmierć nagłą, powolną, ale na śmierć. I jakoś to znosimy, jeszcze nam serca nie popękały.

Nie. Nie chcę wracać do pożegnania z Warszawą. Nie było jej. Sterczały szczerbate mury kamienic, tak ich dużo, ogromne miasto pustych kamienic z oczodołami wypalonych okien. Wdzierało się nimi niebo z białymi obłokami, lekkomyślne niebo, nieczułe, złe niebo.

A tu miasteczko Joanny - ciche. Groby pomordowanych we wrześniu chwastami już zarosły. Przebywałam tu bardzo długo, ćwierć wieku. Jakoś to prędko minęło. Sądziłam, że tu złożę swoje kości. Idąc do lasku musiałam przejść obok cmentarza.

461 / 4

Szeptalam: "A światłość wiekuista niechaj Im świeci na wieki".

Szukałam oczami wśród siwych nagrobków wolnego miejsca dla siebie.

Człowiek żyjąc martwi się potrzebnie, niepotrzebnie, wie pan

o tym, panie Włodzimierzu. Zaczęłam nową książkę, nie wiem

jeszcze o czym będę pisała. Tę książkę, jaka będzie dobra czy

zła, poświęcam panu, czytelnikowi "Księgi z Pięciu Wzgórz".

Pisze pan: czytam ją po raz siódmy. Znalazłem w niej polski

krajobraz... Żeby pan wiedział ile mi pan dał szczęścia, bo

tu mówią w tym miasteczku Joanny, mówią, że musiałam dać łapówkę

za wydanie trzech książek. Nic nie dałam. Nikt ode mnie tego nie

żądał. Moje książki obroniły się same. Zdawały trudny egzamin

parę lat, zanim się ukazały. Musi być wszystko u nas za pienią-

dze, jeśli ludzie tak mówią, sądząc po sobie. A ja nikomu nic nie

dałam. Życzę moim nieznanym redaktorkom wszystkiego najlepszego.

Lubię je, a nawet kocham. Były tak życzliwe jak i pan, panie

Włodzimierzu. I do pana teraz piszę, do pana i dla pana.

Przyjechał pan z Francji po przeczytaniu "Księgi z pięciu wzgórz".

Żeby mnie poznać. Ale co tam ja. Wstydziłam się mojego mieszkania

gdy mówił pan o swoich dziewięciu pokojach i ogrodzie. Przyniósł

pan na naręczu z samochodu - wiśniowy - popatrzyłam z okna.

Przyniósł pan koniak, sardynki i herbatniki. To była niedziela.

4103 *ly*

Nie było mnie w domu, łąziłam po tym lasku za cmentarzem.

Odszukała mnie córka sąsiadów. Wszystkie sklepy zamknięte.

Przyjechał książę mojej "Księgi", a ja nie mam mu co dać. Marylka,

ta złotowłosa, która tak się podobała panu, kupiła w "Bajce"

ciastka. Takie duże ciacha. Kawę miałam.

Pocałowaliśmy się na przywitanie jakbyśmy się znali od lat, pamięta pan? Przyglądałam się pańskiej wąskiej twarzy i pańskim białym włosom. Spadały gęstą czupryną na czoło. Włosów pan nie utracił, tylko posiwiały. Pan przyglądał się moim zmarszczkom na pomiętej twarzy, których bardzo się wstydziłam, jakby to była moja wina. Moje włosy są szare, wpadają w niebieski odcień i gdy

są uczesane przez fryzjerkę, nawet nieźle się jeszcze prezentują,

ale ja nie byłam uczesana i cierpiałam z tego powodu. Na drugi

raz, 'panie Włodzimierzu, proszę mnie zawiadomić o swoim przyjeź-

dzie, a nie tak. Uczeszę się, wystroję, a na stole będą kwiaty i

szynka z Orbisu. Droższa, ale co tam, gdy się gości u siebie

księcia i jego uroczą małżonkę, Tak, pani Stefanio, jest pani

bardzo swojska, bardzo słowiańska i mówi pani tak czysto po polsku

choć urodziła się pani w Westfalii.

- Tak źle u nas nie jest, a zresztą Polska, Polska, panie Włodzimierzu. Najważniejszy jest chleb. Gdy byłam w obozie...

Za moim przykładem zaczął pan opowiadać o sobie. Front. Oflag.

Po wojnie robota w fabryce. Ciężka prosta robota, a pan inżynier.

Potem ślub z córką kolegi - Polaka. Spojrzałam na Stefanię.

To ta, co dźwiga na swych barkach życie swoje, dzieci i chorowi-

tego męża. Siłaczka. Serce. Znam to, panie Włodzimierzu, każdy

smutek, każda radość, każde głupstwo, nuda, wstrząsy - wszystko

przechodzi przez serce. Znam i ja zagranicę. Hanower. Choćby nas

nie wiem jak strzegli przed patrzeniem, prowadzali po zaułkach,

krętych drogach do ciemnych hal fabrycznych pod bomby, zawsze

się coś zobaczyło. Choć do patrzenia nie było siły, tylko to

pragnienie żarcia. Najeść się, najeść kartofli, do syta, kartofli.

Nie białego chleba, nie mięsa, tylko kartofli. Dziwne, ale tak

czułam.

Widział pan nasze miasta i wsie? Ładne, co? Zmieniły się i

buduje się, buduje. Zaczęliśmy od gruzów i popiołów. Wszyscy

runęliśmy do pracy zdrowi, kalecy, chorzy, ostatkiem sił.

Deszcz, szaro - powiedział pan. Cóż mogłem zobaczyć  
w listopadzie.

- Tak, tak, cóż pan mógł zobaczyć. Drzewa bez liści i  
wszystko nagie. Widoczna każda plama, każdy stary płot, a stare

467  
H

ploty się wałają. Wszędzie się wałają, nie tylko u nas. Co tam plot. Polska, panie Włodzimierzu, Polska. A ja 1 grudnia 1945 roku wysiadłam ze szwedzkiego statku "Prinz Carl". Z księcia wysiadłam, po księżęcym leczeniu w szpitalu, po nocy sztormowej. Chorowaliśmy wszyscy. Żeby pan zobaczył nasze wykrzywione twarze. Szwedzi się śmiali. Zdążyliśmy połknąć pierwszy posiłek: parówki i bulion, i zaczęło się. Gdy statek się zatrzymał, minęła choroba. A my wystrojemi od stóp do głów w nowe rzeczy, w nowe, nie jakieś stare lumpy. Dali nowe. Dwie walizki pełne ubioru i 10-kilogramowa paczka z żywnością. Co tam było! Kawa, ryż, czekolada, kakao, cukier... Na 10 kilo, to trzeba nakłść. W Szwecji Polacy, którzy tam zostali, odradzali nam powrót do kraju, ale my nie. Okradną was, mówią. A niech okradną, tyle straciliśmy, zniesiemy i to. Przeżyliśmy okupację, obozy, a teraz mamy się bać naszej biednej ziemi, która jeszcze się tli. Wiemy, że ona dziś pobojowiskiem, a na pobojowisku hieny. Ciużają, zajmują ocalałe z pożogi domy, wywieszają biało-czerwone flagi. To oni znowu: grasują, rzucają się na pociągi, zedrą z was ostatnią koszulę. Żydzi teraz Polską rządzą.

To się skończy, myślimy. To nie tak jak sobie wyobrażamy - ładnie składnie. To nie tak.

To nie tak. A z tym powitaniem w porcie gdyńskim, też nie było tak. Nikt nas nie witał. Dość mieli witania. Pół Polski wracało z więzień, obozów, robót. Przyszli ludzie zobaczyć szwedzki statek. A my wysiadamy ubrani w nowe od stóp do głów. W nowe buty, nowe płaszcze, nowe berety i dwie walizki w rękach. Paczkę, tę 10-kilogramową, niesie za nami szwedzki marynarz. Paczka z nowej tektury, nie jakaś tam wymiętoszona związana sznurkami w supły. Zagraniczna. Ludzie patrzą, smutni jacyś. Czekaemy na jakiś gest, na ciepłe słowo, a oni:

- I pocioście wrócili, jak wam było tam tak dobrze?

Pociośmy wrócili? Do domu, do siebie. Tak nas przyjęli.

W jakiejś mrocznej hali, w której proste ławy, dostaliśmy kubek kawy i kawałek chleba ze smalcem. Po szwedzkich rarytasach ten posiłek był bardzo skromny. Rozczuliło mnie to. Była Polska. To była Polska. Szara, zmęczona, ale nikt się na nas nie rzucił, nie odarł nas z ostatniej koszuli, jak nas w Szwecji straszono. W pociągu nie było okien. Ktoś zatkał dziurę kocem. Padał drobny rzadki śnieg. Pola równinne, a pociąg z wytłuczonymi szybami wiezie nas do domu, do siebie. Przecież nie ma już tego mieszkania w Warszawie. Dokąd ja jadę? Pytam się ludzi, jak tu teraz jest, jaka teraz ta Polska?

477 dw

Nie chcieli mówić. Odezwał się jakiś staruszek: - Ano dopiero się zobaczy, bo biją się o to, kto będzie rządził.

Biją się Polak z Polakiem, tylko ziemia się z ziemią nie bije. Las z lasem, rzeka z rzeką. Pojadę do Łodzi. Tam mieszka kuzynka z matką. Myślę i patrzę. Pociąg biegnie z nami przez szarość grudnia. Witają nas niedobite stacyjki, drzewa bez liści, grudy ziemi pobielone śniegiem. To ona, taka. Przyjdzie wiosna, zazieleni się, nie będzie znać wojny. Na ugorach zakwitną maki. Całe łąny będą czerwone, jakby zakwitła skrzepła krew. Nie zaorze się całej ziemi od razu. Brak rąk. Trzeba poczekać aż podrosną synowie poległych. Wdowy nabiorą sił i ocierając łzy wyruszą z motykami w pole. Znikną czerwone maki i zazieleni się żyto, potem zazłoci, potem sypnie nam ziarnem na rozłożone dłonie. Taka ta nasza ziemia hojna. Wszystko na niej. Wszystko w niej - prochy ojców, którzy walczyli o niepodległość. Zawsze nam ją wydzierali.

Rzuciliśmy się do pracy, panie Włodzimierzu, za talerz zupy, za kawałek chleba, pieniędzy nie było, <sup>wiecej</sup> nic nie było, Ale co tam zapłata. A jak byliśmy ubrani! Śmiechu warto. W za duże, za małe czerwone, zielone, czarne łąszki. Jak my wyglądaliśmy!



UNRA przysyłała paczki z używaną odzieżą. Zaczęły się wtedy pierwsze spekulacje przy rozdawaniu. Człowiek, panie Włodzimierzu, człowiek do siebie, nie od siebie: ziarnko, worek, cały wagon. A na ziemi czerwień, a w lesie biel. Rozdarty sztandar. Potem obrośliśmy w tłuszcz, przybraliśmy się w ortaliony, w elanobaweinę, w stylony i wkrok w burżuazję! A nazywaliśmy się według ostatniej mody socjalistami. Przecież jeszcze jadę do Łodzi. Nie byłam jeszcze w Łodzi. Przed wojną tak się nie ujeżdżało jak dziś. Łódź czarna, ruchliwa. Gęsto w niej jak w żabim bajorze. Walizki zostawiłam u towarzyski podróży Żydówki, byłej więźniarki. Siostra jej mieszkała na Piotrkowskiej, zięć jej był oficerem. Powitanie było nieprzyjemne. Siostra zamiast się rzucić na szyję pasażerce "Prinz Carl" z nowymi walizkami i paką z nowej tektury, w której pełno było dobrych rzeczy, zawołała:

- I po[ ]coś ty wróciła?!

- O Boże, pomyślałam. Nikt nas nie chce, a my do siebie, do domu. Do kuzynki, która mieszkała za miastem, jechałam tramwajem, potem elektrycznym pociągami. Wsiadłam. Pusto. Ciemno. Majaczą tu i tam domki. Idę w kierunku oświetlonego okna. Spytałam o ulicę. Nie wiedziałam kogo pytam, mężczyznę czy kobietę, taka ciemność.

- Nie znaju - usłyszałam. I serce mi zabiło. Strzeli do mnie. Żołnierz odszedł spokojnie, a ja, panie Włodzimierzu, do światelka idę, po asfalcie, po ogródkach, po grudzie do kuzynki idę. To było jej okno. Wyczucie to ja mam. Gdy zaczęło się powstanie - dzieci wierzyły w zwycięstwo, a ja nie. Zganie miasto i ludzie, pomyślałam, ale tak musi być - schyliłam głowę przed tą szaleńczą świętością. Dziś stoi pomnik dla powstańców, wspaniały, w środku miasta, ~~a gdzie są te dwa dla bezbronnej~~ <sup>a</sup> ~~Cywilnej~~ ludności, która cierpiała podwójnie oddana na ofiarę, musiała ponieść karę tu zaraz, na miejscu albo w obozie. Niektórym się udało. Wymknęli się. Przepłacili pierścieniem, zegarkiem. Wygrali swój los na loterii. ~~Niektórzy~~ Niektórzy. Złodzieje zaraz do piwnic, a w piwnicach cały majątek ~~duży, mały~~, ukryty w popłochu. Człowiek, panie Włodzimierzu, człowiek ma instynkt ciułania nawet pod kulami. Nieraz pada z workiem skarbów na środku ulicy. Złodziej nie żaden bohater, ale pomnik niech ma. Zawsze będą złodzieje, bluźniercy i święci. Najwięcej jest tych zwykłych szarych ludzi i ci są narodem. Nie złodzieje i nie święci - zwykli szarzy ludzie. Tak myślę, panie Włodzimierzu, a pan?

477  
LW

Byłam niedawno w Lesinie, znanym panu z czasów młodości i z "Księgi z pięciu wzgórz". Jest nad dwoma jeziorami jak był, tylko ładniejszy. Nabudowali. A tę bramę Napoleona rozjechał ciągnik. Mieszkańcy cierpieli, chodzili do prezydium, prosili o nową bramę. Brakowało im jej - znaku miasta, przeszłości, historii. I postawili.

Wybierałam się do Lesina dziesięć lat i dopiero pojechałam po strajkach. Spieszyłam się, żeby mnie drugi nie zaskoczył. Ludziom źle. Nie każdy ma samochód, modny kozuch, dywan, nie mówiąc o domku jednorodzinny. Chociaż te robotnice z Krosna, te tkaczki... A może to był skansen kapitalistycznej fabryki, jeśli to nie był skansen i tak było w każdym zakładzie, to musiał być ten strajk. W obronie tych tkaczek. A jeśli w innych zakładach było dobrze, tylko gospodarka niesprawna, części nie na czas, dyrektorzy opryskliwi, to można było załatwić wszystko bez strajku. Dlaczego zawsze my, zwykli, szarzy ludzie, musimy za wszystko odcierpieć. Za powstanie i przez ten strajk. To straszne, gdy przestaje bić serce miasta.

Demokracja to miłość człowieka do człowieka. Niech już nie będzie tej miłości, za duże słowo, ale niech będzie zwykła

życzliwość, niech nie będzie tego cholernego podgryzania, tej protekcji co się dziś kumoterstwem nazywa. Odwaga, a nie za tym

co na przedzie, żeby jeszcze trochę posiedzieć na wygodnym stołku, żeby się nie narazić nikomu, dyrektorom, robotnikom, nikomu.

Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Gdzie jest ta prawda?

Pośrodku. Bez przesady panowie czarne - białe. Szare panowie, szare. Grzeszki to my mamy wszyscy. Jak już się odmieniać, to odmieniać. Wszyscy! Jak do walca, para za parą. I zaraz inny świat: ekspedientki - anioły. Robotnicy akuradni, rzetelni, nie żadni alkoholicy, bumelanci, bublarze. Lwy. A dyrektorzy koledzy, nie jacyś tam panowie. Panów mieliśmy przez wieki.

A w latach trzydziestych pobożni byli ludzie. Szli do Częstochowy na piechotę o kawałku chleba, by paść krzyżem przed Cudowną Madonną i poprosić ją o robotę, nie o samochód, nie o dywan.

A teraz jak ja się pytam czy była kawa, to proszę mi odpowiedzieć: nie było proszę pani, a nie tak odburknąć: nie było! Ślepa pani, nie widzi pani pustej półki. Nie było to, nie było, może będzie za dwa tygodnie - pochylam głowę. Przyjdę za dwa tygodnie, mówię. Grzecznie mówię, jak się należy, a nie: jak pani może tak się odzywać do starszej osoby?

UPI  
du

Kto tu jest kierownikiem i gdzie książka zażaleń? Nie idę skarżyć. Kłuje mnie ta niegrzeczność, może przejdzie, a bo to jeden cięrn w sercu. Po śmierci mnie ocenią. Jeszcze jak. Alina poetka, moja kuzynka, ma ulicę swego imienia. Nie taką długą jak Gałczyński, nie taką jak Szenwald, ale uliczkę - cztery domy. I wszyscy muszą tak adresować na imię mej kuzynki. Gdyby tak dostać uliczkę na dwie kamienice choćby.

Tak sobie piszę, panie Włodzimierzu, bo mi ciężko na sercu...

A wtedy w Wisłobrzegu siedząc przy kawie i ciastkach z "Bajki" zaproponował pan nam i sąsiadom kolację w restauracji. Namyślały się dokąd pójść, do Kujawianki czy do Zacisznej. Zaciszna przy parku, decydujemy się na nią. Są tam łóżka, będzie przytulnie.

Panował półmrok, w kącie sali kilku młodzieńców zapijało piwko.

Pywko się teraz mówi, pywko kurde! Zabraliśmy po drodze Joannę, bohaterkę mojej książki. Ucieszyła się. W tej Zacisznej wbrew oczekiwaniom wytworzył się nastrój ponury. Schab był za twardy, herbata ledwie ciepła. Nie było przyjemnie, ale przy okazji załatwiliśmy pokój dwuosobowy. Obejrzałam. Ładny pokój, zachwalam. A sąsiad mówi, tylko jak pan będzie szedł do toalety, to proszę drzwi zamykać na klucz. Zawstydziałam się i szepczę sąsiadowi na ucho: co pan opowiada! Pomyśli, że u nas są złodzieje.

483  
G

- A co nie ma?! - wyszczerzył zęby sąsiad.

- Może są, ale, wie pan, to zagranicznik. Nie można pluć we własne gniazdo. Wyszliśmy z tej Zacisznej i zaraz mi się lżej zrobiło, bo drzewa naokoło z resztką liści. Pachnie ziemia... A ja taka dumna, że tak pachnie nasza ziemia i że pan oddycha jej wonią. W domu pijemy francuski koniak. Pan brał przedtem proszki na serce i mówił, że nie wolno mu pić wódki, a pan przechylił dwa kieliszki koniaku i zaczerwienił się, i powiedział: Jacy wy jesteście mili, jacy serdeczni, jak rodzina. A my wszyscy chórem: bo jesteśmy rodziną. I całowanie się zaczęło.

Gdy dostałam po dwóch normalnych listach, ten trzeci, niespodziewany list, tę kartkę i na niej parę zdań pisane jakby ręką ucznia z I klasy, a pisał pan zawsze po osiem stron równiutkim pięknym pismem - przeraziłam się. Taka mała karteczka, co się stało? - ogarnia mnie lęk. "Jestem sparaliżowany, przebywam w szpitalu, ale napisałem do pani". I Włodzimierz przez ż. Nawet tak. Płakałam myśląc, co za człowiek, co za człowiek napisał jeszcze. I żalowałam ~~panię~~ pańskiej inteligencji i że nie przeczyta pan już ostatniej mojej książki "Joanny". I tak mijaly miesiące. Listy jakby lepiej już pisane i więcej słów, aż ten ostatni tu do Bydgoszczy uszczęśliwił mnie.

Luśka

Pisze pan, panie Włodzimierzu, cud się stał, po dwóch atakach paraliżu, po miesiącach leżenia w szpitalu wyzdrowiałem. Nie całkiem, ale już jestem inny.

Będę pisała zawsze do pana, co było kiedyś i co jest dziś. Doszłam do tego szóstego stopnia do nieba. Mieszkam na szóstym piętrze. Ciepło, woda, gaz, duży, nie taki, jak w Wisłobrzegu. Tylko boję się windy. Można ny na jej temat napisać książkę o windzie i o dzieciach buszujących w niej, o dzieciach, co to naciskają każdy numerek, żeby się świecił razem ze wszystkimi, i żeby winda jeździła w górę jak pojazd kosmiczny. I żeby się psuła, i żeby starsi chodzili zdyszani po schodach na wysokie piętra z ciężarami i niemowlętami na plecach. Żeby chodzili, zgryźliwcy, co nie pozwalają dzieciom żyć szczęśliwie.

Wielką moją pociechą jest skarpa na Wzgórzu Wolności, a drzewa na niej rodzone siostry łazienkowskich, moich dawnych przyjaciółek z Warszawy. Kasztany takie złote i brzozy pożółkły. Konary brzóz wyglądają z daleka jak kiście mimozy. Bzy jeszcze ciemnozielone, ani im się śni żółknąć. A krzewy leszczynowe potłuczone dla orzeszka, i kasztany dla rudej kulki. Ale one silne. Liżą swoje rany na deszczu, na rosie, w słońcu.

487  
dw

Nie mam samochodu, perskich dywanów, ale mam drzewa bogate,  
i one są moją wielką radością - dobre, bezbronne, śliczne  
drzewa. Pozwólcie im w spokoju złożyć się jesiennie na polskiej  
ziemi.

- - - - -